



KOŚCIÓŁ Ś. JACKA, KSIĘŻY DOMINIKANÓW

przy ulicy Freta.

## KOŚCIÓŁ Ś<sup>go</sup> JACKA KSIĘŻY DOMINIKANÓW.

NA ULICY FRETA (\*).

---

Usilnie pragnęli dominikanie osiedlić się w Warszawie, ale zamiary ich długo nie mogły osiągnąć pożądanego skutku, gdy nie znajdowali dobrodziejów pomiędzy panami. Przyszło wreszcie do tego, że ojcowie sami przyjąć byli gotowi ciężar na swoje barki. Zgromadziwszy się albowiem na kapitule w Poznaniu dnia 4 lipca 1603 roku, uradzili, żeby na pierwszy początek nowo zamyślanego klasztoru, wyznaczyć choćby szczupły zasilek z kasy prowincjonalnej, a resztę poruczyć Opatrzności Bożej i dobremu sercu bogobojnych ludzi. Oweczesny prowincyjał zakonu Wojciech Sękowski, najusilniej popierał to przedsięwzięcie, wykonanie którego zlecono jednomyślnie ks. Abrahamowi Bzowskiemu, jednemu z ojców krakowskich, który później liczył się do naj-

(\*) O tym kościele pisał Ignacy Łojola Rychter „Wiadomość historyczną“ w programacie szkoły księży dominikanów na rok 1828 str. 1—52). Jako dopełnienie tegoż, artykuł o księdzu Janie Alanie Bardzińskim w programacie na rok 1829 (str. 5—33). Prócz tego mieliśmy pod ręką wiadomość historyczną o fundacyi kościoła i klasztoru księży dominikanów warszawskich, rękopism księdza Damijana Dzieszkowskiego. Rychter pisał bez krytyki, ksiądz Dzieszkowski zaś trzymając się ślepo słów Rychtera, jego pracę powiększył tylko dodatkami. Ale bardzo ważne wiadomości są u Rychtera o zakonnikach autorach tego klasztoru, stanowiące poniekąd materiał do dziejów literatury.

oświeceńszych kapłanów katolickich, i znany dla tego osobiście papieżowi, miał wpływy u panów koronnych. Mianowany wikarym prowincyjalskim, Bzowski po kapitule udał się zaraz do Warszawy, i po drodze zawadził o Łowicz, gdzie wszedł w umowę z dwoma braćmi rodzonemi, to jest: księdzem Wincentym doktorem medycyny kanonikiem łowickim, i z Szymonem, Oczkami o kupno zabudowań z podwórzem i ogrodem owocowym na Nowém-Mieście w Warszawie od uliczki Zatylnój położonych. Kontrakt o to spisany w klasztorze łowickim, we wtorek przed ś-tą Anną, a w kilka dni potém do akt radzieckich starój Warszawy wciągnięty. Oczkowie w dwóch ratach dwa tysiące złp. dostali; zakon nie wydał na to kupno ani grosza, gdyż potrzebną summę zebrano w większej części w składkach od ludzi pobożnych. Grunta oczkowskie leżały nieco dalej na pochyłości wzgórza spuszczonego się ku Wiśle, dla tego ksiądz Bzowski chcąc nabytki swoje rozszerzyć i czołem do ulicy Freta przysunąć, zakupił jeszcze od Szymona Wituńskiego pisarza starój Warszawy dom zwany Kukieleczyńskim z przyległościami (1603 r.), a potém trzy inne jeszcze domy; jeden od Franciszka Głównki, a dwa z placami zwanymi *Ogińskie* od Anny wdowy po Jakóbie Gudoszu Grudzkim (1604 r.), ku czemu dopomógł księdzu, Wojciech Baryczka kuchmistrz królewski. Znalazły się i ofiary: Maciej Pracki podarował klasztorowi bez żadnych obowiązków grunt swój Bęlcząca zwany, nad Wisłą wprost zdrojów, na którym, oprócz zabudowań dworskich, mieszkali czynszownicy pod zarządem swojego wójta. Biskup poznański Goślicki pod dniem 4 sierpnia tegoż roku, wydał Bzowskiemu pozwolenie na piśmie założenia kościoła i klasztoru. Król zaś wszelkie nabyte i nabyć się jeszcze mające posiadłości dominikanów w Warszawie zatwierdził, i uwolnił od ciężarów publicznych, (w Krakowie 6 lutego 1604 r.).

Na pierwszy zakład przybyło do Warszawy jedenastu zakonników. Bzowski ustanowiony wikarym konwentu, zburzył zabudowania oczkowskie. Zbudował na otwartym z tego powodu



placu dom drewniany na mieszkanie, a potem osobno kaplicę także drewnianą, na tém właśnie miejscu, gdzie dziś znajduje się *kaplica ciemna*. Obok niej stała na podmurowaniu drewniana jeszcze dzwonnica. Nabożeństwo zaczęło się w niej odbywać na ołtarzu przenośnym od dnia 8 listopada 1603 roku. Nazajutrz ksiądz Fryderyk Danigiel oficcyjał warszawski śpiewał tutaj pierwszą mszę o Duchu świętym, a kazanie miał ksiądz Maryjan Postękałski ex-prowincyjał bernardyński z tematu: „wprowadzisz ich i umieścisz na górze dziedzictwa” (exod. 15); na niesporach sam Bzowski mówił na temat: „jedenasty fundament, Jacek” (Apocal. 21), z zastosowaniem do życia ś-go patryjarchy, którego przed dziewięcią dopiero laty kanonizowano w Rzymie. Nabożeństwo trwało ośm dni w nowym kościółku, a lud pobożny gromadził się i radował, potrzeby zakonników hojnie opatrując. Z taką pomocą Bzowski coraz więcej mógł zabiegać około budowy klasztoru, który podniesiono tymczasem do godności przeorstwa (22 września 1604 roku). Wprowadził do kościoła swego uroczyscie arcybractwo różańcowe od ś-go Ducha i urządził je, pod opiekę najwyższą królowi, biskupom i senatorom oddawszy, w czém mu rajcy starego miasta, jako bracia pomagali (11 grudnia 1603 i 5 czerwca 1605 r.). Kiedy został pierwszym przeorem w Warszawie, na gruncie Prackiego, który że górzystym był i do innego użytku służyć dobrze nie mógł, ale za to w glinę obfitował, ksiądz Bzowski obaliwszy niepotrzebne budowle, wystawił potem cegielnię i zaraz d. 6 września 1605 r. zarzucił fundamenta na kościół murowany pod tytułem ś-go Jaka. Cegielnia nie tylko że służyła dominikanom ku wygodzie i potrzebie, ale jeszcze przynosiła im dochody. Kierował fabryką mularz Jan włosz, który plan kościoła wziął ze ś-go Jana i rzecz posuwał tak prędko, że już 22 września mógł położyć Goślicki kamień węgielny na kościół. Rychło potem ksiądz Bzowski wyjechał do Rzymu, zostawiwszy na swojém miejscu wikarym ojca Piotra Opatowczyka, który tak pracowicie doglądał budowy.

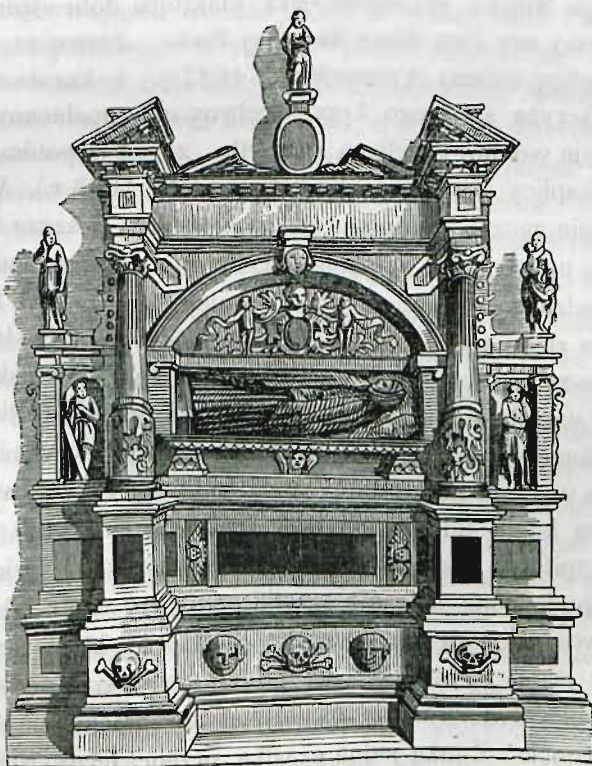
że w presbyterium druga już mogła się urządzić kaplica na przyjazd Bzowskiego. Mąż ten albowiem doktorskim biretem w Rzymie ozdobiony, powrócił do Warszawy w jesieni 1606 r. i w nowym już kościele pierwszą mszę o ś-jej Trójcy odprawił dnia 22 października. Jednocześnie przywieziono do Warszawy relikwie ś-go Jacka dla tutejszego kościoła, i złożono je najprzód prywatnie u Panny Maryi na Nowém-Mieście, skąd potém dnia trzeciego w wielkiej processyi przeniesiono je do kaplicy dominikańskiej; ta uroczystość ważną jest i pod tym względem dla całego kościoła polskiego, że wtedy to dopiéro za pozwoleniem Rzymu zakon przystąpił do podziału świętych patryjarchy swego relikwii, których dotąd żaden prawie klasztor polski nie posiadał. Bzowski do tego jako sam człowiek uczony, pomyślał o bibliotece i na pierwszy jój zakład ofiarował nie tylko dzieła swoje własne, ale nadto spory zapas książek uzbieranych w czasie niejednokrotnych swoich podróży do Rzymu; do dziś dnia znajdują się w bibliotece klasztornej dzieła jego własnoręcznym podpisem oznaczone.

Bzowski dwoma nawrotami był tutaj przeorem; pierwszy raz złożył godność swoją po rzymskiej podróży (10 marca 1607 r.); drugi raz rządził klasztorem w lat kilka potém, ale krótko, ośm zaledwie miesięcy (od 7 lipca 1609 do 12 marca 1610 r.).

Najważniejsze to były dla klasztoru czasy; budował się, rozwijał, znajdował dobroczyńców. Chociaż go Bzowski opuścił i przeniósł się do Włoch na mieszkanie, gdzie pisał dzieje kościoła i kardynalskiej wyglądał purpury, początek już raz był dany, i dla tego sprawiedliwie ze wszech względów Bzowskiego uważać można za dobrodzieja i założyciela klasztoru. Duchem swoim przejął on i następnych przeorów, którzy wszyscy bez wyjątku odznaczali się gorliwością. Wtedy to arcybractwo różańcowe przyjmowało udział w narodowych uroczystościach; raz pod przewodnictwem księdza Wacława Koszowskiego promotora, odprawiło pierwszą pielgrzymkę do Częstochowy na odwró-

cenie zarazy, z obrazami i chorągwiami (1608 r.); drugi raz najazutrz po urodzeniu Jana Olbrachta królewicza na podziękowanie Bogu za szczęśliwe ukończenie sejmu (1612 r.). Wtedy za przeorstwa Ludwika z Przemyśla, nowicyjat przeniesiono z War-ki do Warszawy (1610 r.). Wtedy Anna z Dobrzykowa Tarnowska kasztelanowa konarska i Krzysztof Szymanowski z Kask z żo-ną Anną z Lasockich zapisywali summy, a rodzina Baryczków hojne z kilkunastu rąk sypała dobrodziejstwa na budujący się ko-ściół. Wojciech Baryczka wystawił ołtarz ś-go Jacka (w tém miejscu

gdzie te-raz jest ołtarz bracki Najśłod-szego Imienia Jezus), i przed nim wy-muro-wał grób dla swo-jój ro-dziny; prócz te-go spra-wił or-naty i bieliznę



kościel-ną. Wte-dy i Zbi-gnie w Ossoliń-ski świe-żo na-wróco-ny ka-tolik, i w ogóle całego zakonu kazno-dziej-skiego przy-jaciel, piękny tutaj sta-wiał na-

Pomnik Katarzyny z Kosińskich Ossolińskiej.

grobek dla zony swojej Katarzyny z Lisowa Kosińskiej kaszte-lanki podlaskiej; był to sławny, burzliwy i wymowny senator;



ojciec trzech synów, i co największa kancelerza Jerzego: Kosińska była pierwszą jego żoną, a miał ich po niej trzy jeszcze; umarła bezdzietnie. Wtedy Jakób Sobieski wojewoda lubelski chował tutaj w kościele siostry swoje Wodyńską i Radziejowską, ciotki króla Jana III, a szwagier jego wojewoda rawski, Stanisław Radziejowski wymurował kosztem swoim kaplicę śnieżną i w niej grób rodzinny (1632); obadwaj także ci panowie porobili zapisy na klasztor. Zygmunt Kazanowski i Ruszkowski miecznika koronnego liczy też kościół za swoich dobrodziejów. Wtedy Jadwiga Mińska szczególniejsza klasztoru dobrodziejka, podarowawszy mu dwa domy na ulicy Freta, drewniane i murywane, kaplicę ciemną wymurowała (1627 r.) i kazała zrobić na drzewo krzyża świętego krzyż srebrny cały pozłacany; ołtarze i zakrystyje wotami i bielizną zarzuciła, za co ją potem dominikanie w kaplicy ciemnej pochowali (umarła 1633 r.). Wtedy to dominikanie zaczęli skupować dobra ziemskie; jeszcze trzydziści lat nie upłynęło od założenia klasztoru, a już posiadali prawem dziedzictwa wsie: Seroki i Granice (1605), oraz Pomięcin (1620), w ziemi sochaczewskiej; dalej Moczydlów (1616), który sprzedawszy, nabyli za to wieś Młęcin z Wolą Młęcińską, i Gąsionkę w stanisławowskim (1620); wreszcie wieś Wesółkę (1624), Lipniak, Zagoździe, Jamielnik, Jedlonkę i Zakopie, wieś Szyszki, wszystko w ziemi łukowskiej (1625 — 1627), i dalej wieś Świdry, którą kupili od karmelitanek krakowskich (1630). Były to piękne kapitały i dochód z nich wcale przyzwoity; wioski szlacheckie podzielone na małe części pomiędzy wielu właścicieli, przedstawiały łatwą zdobycz dla klasztoru, który raz dorwawszy się jakiej części, już potem wszystkich po kolei właścicieli spłacał, i wreszcie osadowiał się mocno na własnym swoim gruncie. Z taką jedną częstką przeor Jacek Kielczewski kupił też prawa patronatu do kościoła w Tuchowiczu w ziemi łukowskiej od Zofii Kazanowskiej (1625). W ciągu téj epoki budowania się klasztoru i kościoła, na wizytę zakonu przyjechał

do Polski od jenerała kommissarz ojciec Fonseca, który bawił w Warszawie od 24 lutego do 2 marca 1618 r., poczem wyjechał do Piotrkowa na wizytę do innych klasztorów. Skończywszy tę pracę, zwołał do klasztoru warszawskiego starszyznę zakonną, na której oprócz innych czynności przyprowadził do skutku tak nazwaną ugodę warszawską (concordia varsoviana). Uгода ta raz na zawsze przecięła zaród do kłótni panujących pomiędzy prowincją a klasztorem krakowskim, który chciał sobie bezwarunkową władzę i stanowisko u dominikanów wywalczyć, i z tego względu uważany, jest to ważny fakt i dla dziejów kościoła polskiego. W kilka lat potem odbyła się w Warszawie pierwsza kapituła zakonu (1623), na której Jędrzej Radawiecki doktor teologii, syn krakowski, a przez lat dziewięć ostatnich przeor warszawski, obrany został prowincyjałem. W tém morowe powietrze w roku 1625 rozpędziło klasztor. Najprzód przeor wyniósł się z zakonnikami do Serok, zostawiwszy na swojem miejscu wikarego konwentu, który także uciekł na wieś; dotrzymali tylko placu gorliwsi zakonnicy, którzy słuchali spowiedzi i komunię podawali zapowietrzonym, przez dziury umyślnie na to w podwojach kościelnych wywiercone, które po dziś dzień dla pamiątki w całości zostały, ale i ci gorliwi zakonnicy wymarli; wtedy dwaj szewcy bracia różańcowi Szymon Tarnawczyk i Piotr Gajewczyk zabrali klucze do siebie od kościoła i klasztoru, i jak wprzód tak i teraz poświęcali się dla dobra bliźnich. Tarnawczyk zawiadywał klasztorem, i w ciągu drugiego powietrza, które nie długo potem nastąpiło; zakonnicy znowu się rozpiechli po wsiach, a kościół był zamknięty od 13 grudnia 1628 do 21 marca 1629 r. Przemknął się potem tutaj na przeorstwie doktór Jerzy Trebnicz, który pamiętny jest z tego, że wyprawił własnym kosztem kapitułę w Warszawie, na której powtórnie obrany został prowincyjałem (1631 r.). Po nim wikarym konwentu był czas jakiś sławny nasz mówca kościelny ksiądz Fabijan Birkowski (od 12 czerwca 1631 do 12 lu-



tego 1632), który splaciwszy dług, uwolnił wieś Młęcin z pod zastawy. Ksiądz Jacek Mijakowski przeorem warszawskim był od 7 lipca 1633. Obok Birkowskiego Mijakowski, obok poezyi i uczucia nadętość wymowy, obok czystości niepokalanéj języka makaronizm. Mijakowski dużo pisał, ale wsławił się najwięcej sławną swoją „kokoszą,” którą już w roku 1613 na kolendę różnym stanom rozdawał, duchownym kurę co grzebie w śmieciach, nauczycielom kurę co gdać i kurczęta wodzi, szlachcie kokosz, co zawsze na grzędzie siada i zawsze się trzepocze, uczniom kokoszkę z pypciem i t. d. Mijakowski w dziejach tu-tejszego kościoła tém pamiętny, że sklepienie i dach w znacznej części na niém położył, oraz tém że processował się z księdzem Jagodowiczem proboszczem Panny Maryi. Od samego osadowienia się swego w Warszawie, grzebali dominikanie zmarłych w grobach kościoła i udzielali sakramentów, co budziło zgrozę w parafii. Proboszcz domagał się, żeby oddawano mu czwartą część dochodów za pogrzeby, ale gdy to nie pomagało, zapozwał nawet dominikanów do konsystorza (24 paździer. 1633 r.). Stanęli zakonnicy, ale nie uznawali sądu, bo mieli swoją osobną zwierzchność w Rzymie; mimo to officyjał kazał z niemi postępować zaocznie (14 listopada). Spór odwołano do następnego kwietnia, ale tymczasem pomiarkował się przeor i szukał zgody, nibyto odwołując się do generała, na co mu pozwolił Jagodowicz dla świętęj spokojności. Nie wiemy, jak się skończyła ta sprawa, ale domyślamy się, że pewno wygrał ją proboszcz. Tymczasem i ksiądz Jacek obrany przez magistrat krakowski kaznodzieją do kościoła Panny Maryi, po dwóch latach rzucił przeorstwo warszawskie.

Budowa kościoła skończoną nareszcie została (1638 r.). W rok potem kommissarz i wizytator apostolski Augustyn de Imola pisał w klasztorze warszawskim dekret dla niego, zwany reformationis, w którym obostrzał karność zakonną, i głównie nakazywał, żeby professor moralny co tydzień lekcyje wykładał pu-

blicznie dla wszystkich, i żeby księży dopiero trzydziestoletnich do słuchania spowiedzi i do kazań używano (1639 r.). Kościół i klasztor potrzebował wtedy jeszcze wielu zmian wewnętrznych, dla tego więc kommissarz jednocześnie nakazywał, żeby cegiel swoich nie sprzedawał przeor nikomu, ale żeby je wyłącznie obracał na dalsze budowle. Rozwinął myśl księdza Augustyna przeor Jacek Baryczka doktor teologii. Najprzód albowiem klasztor murować zaczął, w kształcie litery Z, gdyż dotąd zakonnicy w kilku celach drewnianych mieścili się (1643), do czego nie tylko, że mu Baryczkowie dopomagali, ale on sam nie szczędził na to własnego majątku. Ojcowie popierając przeora na kapitule (2 stycznia 1647) postanowili, żeby na prędsze wymurowanie klasztoru obrócić dochody z Młęcina i pobożnych zapisów, któreby złotych sto przechodziły, po odcięciu od nich dziesiątej części na poboczne wydatki. Jarzemski słusznie zadziwiał się nad obszernością zamierzaną budowy, „klasztor, mówi, budować zaczęto; będzie tak obszerny, jakiego podobnego nie ma w Warszawie, jakoż benefaktory nie jeden tysiąc wyłożą nań.” Klasztor stósowny był do kościoła, bo o kościele powiada Jarzemski: „wielki na dwieście kroków.” Potém chwali kościoła piękne ołtarze, aparaty, muzykę, kształtnie murowaną facyjatę, na której wierzchu pomiędzy kolumnami z kamienia wyrobione stały Matka Boska i ś-ta Anna. Postanowił także Baryczka wznieść w klasztorze tutejszym tak nazwane *studium formale*. Popiérał tę sprawę na kapitule plockiej, i wyjednał na to pozwolenie starszyny zakonnej (29 września t. r.), na wzór takich zakładów, jakie już dawniej były w Lublinie i w Poznaniu. Z własnego majątku ofiarował sześć tysięcy na dwóch professorów teologii i jednego filozofii, którzy mieli brać po sto dwadzieścia, ośmdziesiąt i po sześćdziesiąt złp. co rok; zastrzegł, żeby professury rozdawać głównie pomiędzy synów konwentu warszawskiego, wreszcie po jednej mszy za duszę swoją co miesiąc od każdego z nich wymawiał sobie. Studium to na jego cześć Baricia-

num to jest Baryczkowskiem nazywać się miało. Oprócz tego jednego dobrodziejstwa, ojciec Jacek wiele po sobie pamiątek w tym klasztorze pozostawił. Ukochał go szczególniej może dla tego, że pierwszym został tutaj z professów warszawskich przeorem. Izbę na bibliotekę zbudował i wcielił do niej znaczny zbiór ksiąg będących własnością rodziny (1647). Długi klasztorne popłacił i kapitały zbierał, takim sposobem oczyszczał dobra, dzień i noc trawiąc na pracy. On to kościola po innych przeorach murować dokończył, on także klasztor postawił (1649). Miał czas do tylu świątobliwych robót, bo cztery razy obierany przeorem, długo tutaj w klasztorze piastował władzę (od 27 czerwca 1627—1630, od lipca 1635—1638, od 27 lipca 1639 do 13 grudnia 1640, i od 8 kwietnia 1643—1646). Wreszcie, jako wikary jeneralny, objąwszy władzę nad całym zakonem w Koronie, po odjeździe na kapitułę jeneralną prowincyała, umarł w Warszawie 24 września 1650 r. Epokę tę wewnętrzną organizacyi zakończył drugi dekret reformacyjny nowego prowincyała Jana Konstantego Morskiego, wydany zaraz po dokonanej wizycie klasztoru (z d. 18 czerwca 1650). Głównie i tutaj miał na celu prowincyjał karność kościelną i porządek nabożeństwa, oraz podniesienie nauki i pobożności, owszem, że klasztor warszawski był głównie obrany na ściślejszą karność, pro strictiori observantia, rozkazał żeby co poniedziałki i środy z postem zakonnicy jadali. Ale, oprócz tych ustaw kościelnych, Morski rozwijał inne urządzenia, mające na celu dobro klasztoru: kazał infirmaryją założyć, do niej doktora i aptekę ugodzić, dalej kazał przeorowi myśleć o wszystkich potrzebach zakonników, którzy dotąd mieli tylko życie i mieszkanie, a o habitach sami myśleć musieli, wreszcie zakazał świeckim wynajmować w klasztorze mieszkania. Urządzenia Morskiego były tak w miejscu, że kiedy Serafin Spada neapolitańczyk przysłany był od papieża na wizytę wszystkich trzech prowincyj dominikańskich w Rzeczypospolitej, swoim dekretem zatwierdził ustawy Mor-



skiego. Odprawił w Warszawie Spada wizytę w początkach września 1654 r. Po nim zjechał jeszcze do naszego klasztoru na wizytę ksiądz Jeremiasz a S. Guida, mianowany przez Innocentego IX prowincjałem polskim. Przyjechał do Krakowa w zapusty, do Warszawy zaś na lato (w czerwcu 1653), a na wiosnę następnego roku umarł w tutejszym klasztorze (7 kwiet. 1654), wraz z swoim sekretarzem Sparanem i obaj w kościele przed wielkim ołtarzem pochowani.

Przeor Albert Grabiecki godzien także znaleźć miejsce w naszej kronice. Rządził on klasztorem dwa razy w czasach bardzo trudnych i niebezpiecznych. Dobry gospodarz, i w klasztorze i w kościele i na wsi, wiele zaprowadził porządków. Jego staranności winni dominikanie tutejsi wybudowanie pięknego kapitułarza, w którym na ścianach pomalowano portrety biskupów zakonu kaznodziejskiego, a mianowicie polaków, a pod nim grób klasztorny wybudowano; przeor zakrystyją i niewielki skarbiec z fundamentów na nowo wymurował, a pod nią grób drugi dla dobrodziejów zakonu. Kościołowi powagi przybyło przez obraz Najświętszej Panny Łaskawej, który zaczął sływać cudami, co było powodem, że nuncyusz de Torres obraz ten uroczyście poświęcił (9 lutego 1654). Pomiędzy jednym a drugim przeorstwem Grabieckiego, naszli Warszawę szwedzi. Karol Gustaw, z Ujazdowa gdzie stanął, wyprawił posły do magistratu, w skutek czego nastąpiły układy o poddanie się miasta, które trwały kilka godzin w wielkim refektarzu dominikańskim. Szwedzi weszli do Warszawy, i porozchodziwszy się po domach, klasztor tutejszy całkiem na kwaterunek zajęli; wtenczas żartując sobie żołnierze szwedzki, strzelił do owego obrazu Matki Boskiej, lecz kula odbiwszy się, nic nie zrobiła obrazowi, tylko świętokradzcę zabiła. Odtąd naturalnie lud pobożny większym jeszcze uczuciem zdjęty był dla cudownego obrazu. Oprócz prześladowania jakiego doznawał klasztor od szwedów, dominikanie wiele strat dośkliwych przez te lat kilka ponieśli. Wieś Pomięcin tak im spalili,

że już się więcéj nigdy nie odbudowała; księza przenieśli poddanych do Seroka i grunta sami obsiewali lat sto przeszło, aż póki na zamianę za te grunta innych posiadłości ziemskich nie nabyli. Inną wieś Świdry szwedzi zniszczyli do szczętu tak, że dwór tylko nagi pozostał na polu i chaty gdzieś znikły; połowa wartości przepadła i dla tego sprzedali ją potém. Biskup poznański zabrał dziesięć grzywien srebra i kilka wotów na obronę ojczyzny; co przełożeni przed swojemi ukryć zdołali, to późniéj stało się lupem najezdców. Wreszcie uwięńczyli szwedzi swoje rozboje zabójstwem, jakby tego jednego do miary nie-szczęść brakowało. Ksiądz Ludwik Pozora, sławny niegdyś zaklinacz złych duchów, człowiek bardzo nabożny, który w skutek objawienia zaciągnął się pod chorągiew kaznodziejskiego zakonu, pobożnością swoją i niemocą, ściągnął uwagę nieprzyjaciela; jęcząc na łożu boleści, wzywał opieki Najświętszój Panny, więc najgrawali się z niego, wyciągnęli potém z łóżka, nogi związali, z górnego korytarza ściągnęli na dolny, i długo po ziemi włóczyli, nakoniec powrozami do koni przywiązawszy, bez litości dobili; powietrze pojawiło się do tego. Zakonnicy wynieśli się do Lipnika, i klasztor bez obrony prawie pozostał. Cały ten rok szwed okropnie gościł w kościele. Cele gruzem pozasypywał, sprzęty pokruszył, stajnie i cegielnie popalił. Przeorem za tych nieszczęśliwych czasów był ksiądz Jan Kandyd Jalmużna, który krzątał się jak mógł; postawił większą drewnianą dzwonicę i dom mieszkalny, odbudował stajnie, znalazł czas na odbycie kapituły w Warszawie, a co główna, kiedy zakazano grabieży szwedom, i zakonnicy rozproszeni wrócili, cmentarz murem od ulicy osłonił, na około zaś kościoła, klasztoru i zabudowań gospodarskich poprowadził parkany, wały i fosse, tak dalece, że kościół przyjął postać małój fortecy, zwłaszcza że straż w nocy ciągle po wałach chodziła; widać, że jak Kordecki chciał się bronić ksiądz Jalmużna od małych napaści szwedzkich. Grabiecki po upływie fal szwedzkich, miał przeznaczenie starać

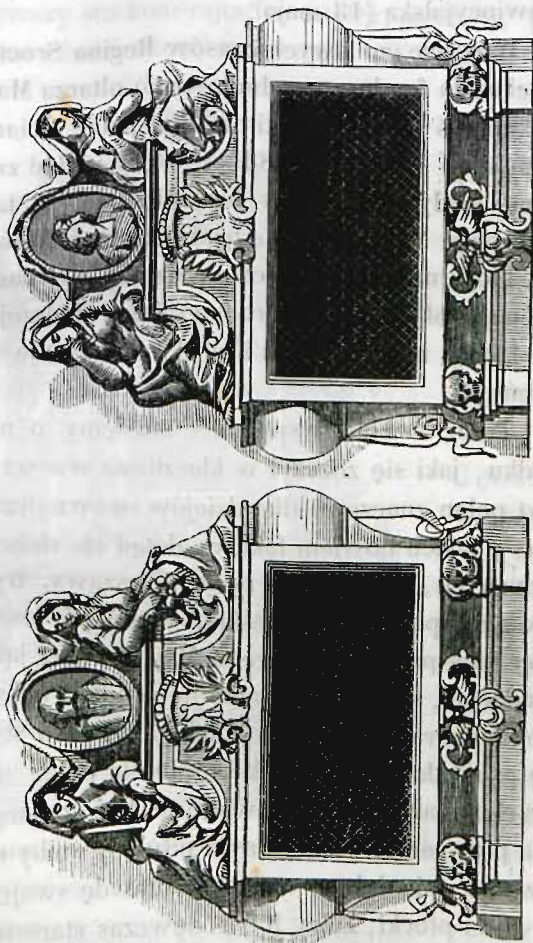
się o naprawę tych ruin (od października 1658 r.). Opatrzywszy najprzód z pierwszego kościół i klasztor, wioski w inwentarzach i budynkach podniósł. wystawił na ulicy Mostowej dom zwany Kuchowskim, wymurował cele dla prowincyjała i przeora na dolnym korytarzu, oraz babiniec, dzwonnice z wieżą i pomieszkaniem pod nią, cegielnią nową wystawił, na górnych korytarzach cele oczyścił gruzem zasypane, sprawił zegar, nowicyjat odnowił. Organy na wielkim chórze z jałmużny przez ojców Dominika Czerniechowskiego i Alberta Czaplińskiego zbieraną wystawił, dalej zaopatrzył bibliotekę różnemi dziełami i uporządkował ją sam, wyzłocił ambonę, długi za szwedów pozaciągane w znacznej części spłacił. Skarbiec kościelny z bogactw srebrnym krzyżem, puszką oraz monstrancyją w kształcie winogron i liści winnych, posprawił bogate ornaty, jednem słowem słusznie może się uważać ksiądz Grabiecki za odnowiciela kościoła i klasztoru. Pokończywszy prace swoje, starał się przeor o poświęcenie kościoła, które w istocie odbył na d. 26 czerwca 1661 r. z wielką okazałością i nie małym także dla klasztoru kosztem biskup poznański Tolibowski; oprócz kościoła siedm ołtarzy (między którymi i wielki) tegoż samego dnia poświęcono. W pomnikach klasztornych zachowała się wiadomość, że za tę pracę Tolibowski dostał podarunek wartości 230 złp. W rok potem raz jeszcze powietrze morowe było powodem, że nowicyjat z magistrem wysłani byli do Lipniaka (24 czerwca 1662 roku). Zaczynając Grabiecki był i autorem: dzieła jego wylicza Rychter. Znakomitość to i z tego względu, że dominikanie posyłali go młodym do kościoła paryzkiego ś-go Jakóba na nauki, tam Grabiecki został nawet doktorem Sorbony. Drugie przeorstwo swoje złożył 9 marca 1664 r., umarł zaś około 1673 r. Następca jego ksiądz Damascen Jankuliński, dobry gospodarz, tym pamiętny, że wioski klasztorne swoją starannością u sejmujących panów uwolnił raz na zawsze od ciężkiej hiberny, i że wyrobił konstytucyją z roku 1667, na mocy której dominikanie warszaw-



scy mogli nabywać i zamieniać dobra swoje za insze szlacheckie.

Nie jedna jeszcze klęska spadła na klasztor w owym czasie. Powietrze zaczęło się na końcu r. 1677 i trwało blisko dwa lata. Zakonnicy i studium przenieśli się wtedy do Młęcina, a gdy nikt ze świeckich nie chciał wchodzić do klasztoru, zgromadzenie zamówiło sobie jakiegoś mieszczanina Kacpra, który nie tylko wszelkim kupnem, ale i wypłatą się trudnił. Wtedy w Młęcinie umarł wracając z kapituły rzymskiej przeor warszawski i autor ksiądz Cypryjan Stefanowski, za którego rządów ołtarz wielki ze stallami w chórze wyzłocił brat Jacek Strzeszewski, z pozostałości po zmarłym przeorze wareckim Augustynie Sistrzeńskim (1669 r.). Wtedy też w Młęcinie obrany został przeorem do Warszawy ksiądz Kandyd Zagórowski (w lipcu 1677). Z następnych przeorów wspomnieć jeszcze potrzeba o księdzu Antonim Mdzewskim (1686—1688), który stąd wzięty na rejensa do Krakowa, został później biskupem kalamaceńskim, sufraganem najprzód łuckim, a później gnieźnieńskim (poświęcony na biskupa 12 marca 1690 r. jak świadczy Załuski); był on dłużnikiem klasztoru, i stąd na dobrach swoich Strzegowie w plockiem, pewne zobowiązania zapisał; i o księdzu Floryjanie Straszyńskim, którego kilka jest drukowanych kazań. Ten obrany 27 grud. 1694 roku przeorem warszawskim z prowincyjała, ledwie rok zgromadzeniu tutejszemu przewodniczył, gdyż jenerał mianował go nagle prowincyjałem litewskim, musiał więc odjechać do Litwy. Największymi zaś z tego czasu dobrodziejami zakonu byli: sławny Aleksander Polanowski, którego tutaj w kościele znajduje się nagrobek z długim napisem łacińskim; ulubiony porucznik Czarnieckiego, dla jego pamięci nawet w czasie bezkrólewia po Janie Kazimierzu, kandydat do korony, Polanowski był w końcu chorążym wielkim koronnym. Cały piękny swój żywot spędził w obozach, i umarł 1687 roku. Oprócz zapisu wybudował dominikanom na ich gruncie w ulicy Starój dworek, który dopiero

po jego śmierci miał zostać własnością zgromadzenia, za to sobie wymówił pogrzeb w kapitularni (7 czerwca 1686 r.). Większym nierównie klasztoru dobroczyńcą był Adam Kotowski stolnik wyszogrodzki, człowiek nadzwyczaj pobożny, który w ogólności wiele kościołom świadczył. Już nie mówim o wotach pojedynczych i ofiarach, ale wystawił Kotowski kaplicę ś-go Dominika, po większej części marmurową; cała jest z porfirowego kwadratowego kamienia, sklepienie jęj zdobi piękne malowanie włoskie, pod kaplicą zaś mieści się grób, w którym Kotowski z żoną w trumnach marmurowych oboje spoczywają. Kotowski podarował prócz tego klasztorowi wsie Jurki i Wolę Jurkowską



Pomnik Kotowskich

w powiecie tarczyńskim, oraz kupił dla zaokrąglenia tych dóbr przyległość Zamłynie w grójeckim, dotykającą gruntów jurowskich, nabył téż dla klasztoru wieś Borowe w sandomierskiem, przekazał różne summy swoje dominikanom, za co potem części

szlacheckie skupywali, i wreszcie dał fundusz osobny na skupienie cząstek we wsi Górcach i Grotach pod Warszawą. Te wszystkie hojne dary spadły na kościół tutejszy w roku 1690, w którym Kotołowski swoim kosztem podejmował także kapitułę prowincyjalską (13 maja).

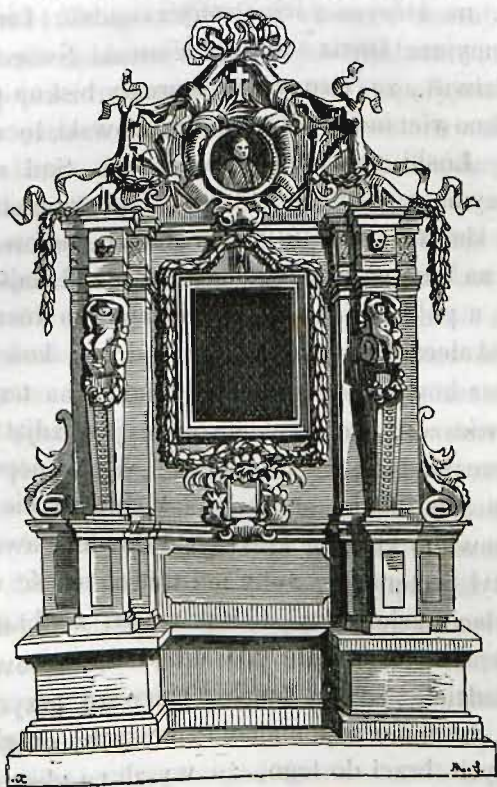
Wreszcie za owych czasów Regina Sroczyńska testamentem przekazała fundusz na zbudowanie ołtarza Matki Bolesnej (1689). Biskup zaś płocki Dąbski ozdobił jedną ścianę kościoła nagrobkiem sługi swojego (1683 r), który widać zacnem był pacholęciem, kiedy obudził w biskupie pomysł takiego publicznego uczczenia. Mówim tutaj o nagrobku Stanisława Jana Skorobohatego, który urodzeniem i cnotą sławny był nad swe lata (wyrażenie nagrobku). Syn skarbnego litew. Jędrzeja, żył lat 22 (1658 do 1684); napis łaciński i polski przekazuje pamięć jego do potomności.

Teraz z kolei wspomnieć musimy o nadzwyczajnym wypadku, jaki się zdarzył w klasztorze warszawskim; stanowi on fakt pełen znaczenia dla dziejów wewnętrznych tutejszego miasta, z takich bowiem faktów, dotąd nie dobrze śledzonych i opisywanych, składało się życie Warszawy. Było to w czasie bezkrólewia po Janie Sobieskim w późnej jesieni. Aleksander Czamer vice-prezydent Starego-Miasta, przez jakąś niechęć do zgromadzenia, stawał mu ciągle na drodze, nabawiając klasztor niepokojów; raz oskarżył dominikanów przed starostą warszawskim, że psują dobry porządek w mieście przez utrzymywanie budek przekupniarskich wystawionych bez żadnego na to upoważnienia przy murze cmentarnym od ulicy, niby na gruncie miejskim. Czamer tak dobrze wystawił prawdę swoją, że Krasieński wojewoda płocki, który był podówczas starostą, natychmiast budy te kazał rozwalać. Napróżno przeor dowodził, że grunt należy do klasztoru i że jedenaście budek znakomity stanowią dochód, napróżno przekonywał, że budki nie były tak bardzo nikczemne, i że porządku miasta nie psuły; starosta rozgniewał się jeszcze



bardziej i nazajutrz chłopstwo spędził dla rozwalenia budek przemocą (10 listopada). Ale i przeor Kandyd Zagórowski pamiętał o sobie, zebrał co tylko mógł ludzi w klasztorze i stawił zbrojny opór. Wtedy Michał Orłowski kapitan z poddmuchu samego starosty, używszy sto koni rajtarów i tyleż piechoty, podciągnął pod klasztor i ludzi zaczął rozpędzać. W kościele ude-

rzono na gwałt, tłumy ludu się zbiegły. Na odgłos dzwonu księża porwali się od stołu, działało się to albo w iem podczas obiadu, i wmięszawszy się pomiędzy lud, dowództwo nad nim przyjęli. Walka za-



Pomnik Skorohatego,

częła się odzrucania najprzód kamieniami, które zewsząd ciskano i z wieży i z dołu. Wtém brat Adam Gębalski więcej gorący, strzelił z pistoletu. Orłowski rozgniewany wśród trąb i kotłów zakomenderował

ognia. Poległ student i ekonom klasztorny Kazimierz Przewodyszewski; a ośmiu zakonników było rannych, Gębalski dostał kilkanaście postrzałów, dwaj zaś inni bracia Bernard Haur i Jacek Sokołowski na zawsze kalekami zostali. Wytoczyła się sprawa najprzód do kapturów, a później do trybunału. W Piotrkowie po-

pierał ją ksiądz Alan Bardziński tłumacz Lukana, ówczesowy kaznodzieja warszawski. Starosta widział z żalem, że sprawa wcale nieprzyjemny dla niego bierze obrót, i dla tego po dwóch latach sporów zabiegał o układy. Ojcowie nie byli od tego, zważając na koszta już poniesione i ponieść się mające, zresztą dobrze im było żyć w zgodzie z panami, zezwolili więc na sąd polubowny, na którym z ich strony zasiadali: kardynał Radziejowski, nuncyusz Davia, biskup kijowski Święcicki i kanclerz książę Radziwiłł, ze strony zaś starosty biskup plocki Zaluski, oraz kasztelanowie: inowrocławski Grzybowski, łęczycki Towiański i Aloizy Łoski podstoli wyszogrodzki. Sąd zgromadził się w pałacu prymasa (4 lutego 1699 r.), i postanowił, żeby starosta zapłacił klasztorowi 2,000 talar. bitych, połowę jako wieczny fundusz na lampy, ciągle palące się przed Najświętszym Sakramentem, a połowę jako wynagrodzenie za koszta prawne, za kuracje pokaleczonych, za naprawę drzwi kościelnych, nadpsutych przez bombardowanie i t. d., Czamer na trzy lata w urzędowaniu zawieszony. Po wypłacie, nuncyusz zdjął klątwę ze starosty, vice-prezydenta i współników ich, w jaką popadli przez sam czyn gwałtu. Dla dominikanów jednak sprawa nie skończyła się jeszcze, albowiem klasztor krakowski dowiedziawszy się o wyroku, założył pretensyje, żeby mu trzecią część wziętych pieniędzy wypłacili księża tutejsi, z powodu, że brat Gębalski był professem krakowskim. Ale nie udało się: ojcowie warszawscy odpowiedzieli, że brat ten był pierwszą przyczyną rozlewu krwi; dalej, że mimo napomnienia starszych, on głównie pobudził młodszych braci do tego, że wyszli na ulicę i że pierwszy strzelił; nareszcie z uwagi, że do prowadzenia téj sprawy w niczem się nie przyłożyli ojcowie krakowscy, a warszawskich kosztowała apteka, doktor, obdukcye, wożenie zmarłego już brata Adama po sądach dla przekonania że istotnie z ran umarł, postanowili nic nie dać i nie dali. Ukończyła się ta sprawa prawie w wigilią drugiego najścia szwedzkiego, które mniej stra-

szne było dla klasztoru niż pierwsze. Mądry polak po szkodzie. Ojcowie zatem wprzód jeszcze nim nieprzyjaciół wkradł do Warszawy uwieźli do Gdańska sprzęty bogatsze klasztorne i brackie, srebra kościelne i wszelkie składy; dla pilnowania tych kosztowności w drodze i na miejscu, wybrali ojca Feliksa Piotrowicza, który dopiero po uciechnięciu grozy wojennej powrócił z Gdańska 1713 roku. Mimo to, szwedzi szukając zaczepki, wzięli do niewoli ekonoma z Serok ojca Holdakiewicza, na którego wykupno klasztor musiał dać trzysta imperyalów.

Za czasów saskich trzy znakomitości klasztoru wzbijają się ponad tłumy, Jan Damascen Lubieniecki, Alan Bardziński i Piotr Drogoszewski, wszyscy jeden po drugim przeorowie. Lubieniecki z Drogoszewskim obadwaj doktorowie, wyrobili u generała w Rzymie, że mimo silne przeszkody ojców krakowskich, studium warszawskie *formale* podniesiono na *generale* i w przywilejach z krakowskim zrównano (1700 r.); pierwszym jego rejensem był ojciec Albert Siekielewicz, a bakałarzem ks. Alan Bardziński. Statuta temu studium nadał generał dopiero dnia 29 marca 1704 roku, a trzy kapituły całego zakonu utwierdziły je, ostatni raz w roku jubileuszowym w Bononii (16 listopada 1725). Lubieniecki był dwa razy przeorem (od d. 10 grudnia 1694 do 1694, i od d. 22 marca 1708—1711); tutaj przyjął sukienkę zakonną (w r. 1668), a odbywszy studia był w Krakowie bakałarzem, potem rejensem. Zwiedził Francję i Włochy, w Lyonie uczył teologii, a w Rzymie był członkiem kolegium założonego przez kardynała Casanelli. Człowiek bardzo uczony, zgromadził wielką bardzo liczbę ksiąg w podróżach swoich i niemi, zwłaszcza dziełami odnoszącymi się do historyi kościelnej, bibliotekę klasztoru zaopatrzył. Był nadwornym teologiem króla Sobieskiego. Pomiędzy obydwojma przeorstwami w Warszawie rządził prowincją. W trzecim roku drugiego przeorstwa mianowany biskupem bakońskim (7 czerwca 1710 r., prekonizowany 23 lutego 1711 r.), dyjecezyją swoją raz odwiedził. Mąż pelen



talentu, miał wielkie poważanie u panów. Do zakrystyi darował całe ubranie biskupie, i mszał charakterem gockim pisany z relikwijami ś-go Piusa V papieża, który tego mszału używał; szczególnie miał widać do tego świętego nabożeństwo, skoro i życie jego opisał, które odznacza się czystą polszczyzną i pewną żywością w opowiadaniu, a dotąd spoczywa w rękopiśmie w tutejszej biblijotece. Lubieniecki głównie téż był promotorem sprawy ś-go Czesława, wydał o nim dziełko i sprawił, że Rzym pozwolił na ubłogostawienie naszego ziomka. Umarł Lubieniecki mając lat 63. w czasie zarazy morowój na Podłasiu w parafii Wołńskiej 1714 roku; ciało jego pochowane tutaj w kaplicy Kotowskich. Ksiądz Drogoszewski był także dwoma nawrotami przeorem, ale urzędował lat 24 (od 21 stycznia 1698 — 1705, i od 14 stycznia 1711 — 1729 r.). Zabiegły gospodarz i gorliwy kapłan wszędzie ślady swojego pobytu zostawił, klasztoru znaczną część domurował, organy znakomicie rozszerzył. Do faktów przez Rychtera o jego życiu cytowanych, dodaję to jeszcze, że był w Hiszpanii na studiach, po czém wróciwszy do ojczyzny, przez lat dwanaście uczył teologii i kazywał. Nazywano go filarem zakonu. Trudno jest lepiej, jak świadczy Rychter, wykladać teologiją w języku ojczystym, jak ją wyłożył ksiądz Piotr w dziele swójem: „Tarcza wiary Chrystusowój.” Umarł najpobożniej 1729 r., i pochowany w kapitularku, mszę żałobną po ostatnich wigilijach śpiewał ksiądz Mikołaj Wodziński ex-prowincyjał i przeor augustyjanów, szczególny przyjaciel nieboszczyka, kazanie zaś miał ksiądz Ludwik Miskie jubilat bernardyński, który akrostychy różne po łacinie na cześć jego napisał, przywodzi je Rychter: przełożeni wszystkich zakonów i bardzo wiele znakomitych osób znajdowało się na pogrzebie. Ksiądz Bardziński wierny tłómacz Lukana, Lucyjana i Boecyjusza, wzorowy prozaik, zdolny rymotwórca, prezentat teologii, z własnego majątku wielełożył na klasztor za życia i zostawił mu jeszcze skarby po śmierci. Był tutaj przeorem przez trzy lata, bezpośrednio szedł

po Drogoszewskim a przed Lubienieckim (od d. 26 lutego 1705, umarł 1708 roku). Rychter osobny artykuł księdzu Alanowi poświęcił. Nie szczególnie obok tych świadectw o naukowości tułejczych zakonników odzywa się współczesny tym przeorom Erndtel; „nie widziałem, rozpowiada, w żadnym innym klasztorze warszawskim tak licznę i bogatę biblioteki jako w tym; samych oprawnych ksiąg przeszło 3,000, o rękopismach zaś głucho tutaj milczenie, nie masz najmniejszego bogactw tych spisu, nad którego ułożeniem już lat przeszło 400 pracują.” Prawda, że w czasach kiedy to Erndtel pisał, nie było stu lat jeszcze klasztorowi (1700), ale zawsze nie na pochwałę mu policzyć te słowa pełne oburzenia. Tembardziej z późniejszych lat nie ma śladu jakiegokolwiek bądź inwentarza.

Jednakże, jak widzimy, miał klasztor warszawski wielu uczonych przeorów, rzadko który z nich nie zajmował się pracą literacką i książką. Żałujem, że nie tutaj miejsce zbierać o nich szczegóły biograficzne, którychby znalazło się wiele. Ochabowicz przeor (od 1729—1732, i 1737—1740) poświęcał się także dla kościoła, który wewnątrz przyozdobił i budował wiele; on także spory z sąsiadami o granice wiosek klasztornych pokńczył i w Warszawie z magistratem Nowego-Miasta: w Górcach i w Młęcinie postawił kaplice, w Górcach ogród nakształt włoskiego założył. Trzeci raz zostawszy przeorem (w czerwcu 1745 roku), wyjechał na kapitułę do Gdańska, tam w kilka dni um. (15 września 1746 r.), i tam pochowany. Nowomiejski był historykiem zakonu. Nędznie się wywiązał z tego zadania, które mu raz kapituła jeneralna w Bononii, drugi raz prowincjonalna w Łucku powierzyła; nie ma w nim albowiem żadnej krytyki historycznej, daty fałszywe, fakta przemienione i dużo czczych słówek; jeżeli chwalił kogo, to już chwalił bez miłosierdzia. Nowomiejski był przeorem od 22 lutego 1742—1745. Symforyjan Poniński (1755—1760 r.) pokazywał się cokolwiek przyostrym, ale o dobro klasztorne usilnie zabiegał. Piotr Tysia-

rowicz był sławnym kaznodzieją; wziętość jego sięgała od wielkiego jubileuszu, który odbywał się w Polsce 1751 r., i podczas którego sześciomiesięczna missyja odbywała się tutaj w kościele. Ksiądz Piotr przewyższył wtedy wymową wszystkich kaznodziejów stolicy, stąd szacowany był przez magnatów, szlachtę, lud i konsystorze; konsystorz warszawski zrobił go egzaminatorem prosynodalnym. Pod koniec życia został tutaj przeorem (1760—1763 r.), a kiedy umarł, chowali go na kapitularku bernardyni i odtąd nastąpiła tak nazwana dwóch zakonów filadelfija co do pogrzebów, to się znaczy, dominikanie chowali bernardynów, a ci nawzajem dominikanów (1764 roku). Mało co przed tą missyją zgorzała dzwonnica i stopiły się dzwony (11 listopada 1750 r.): niebezpieczeństwo wielkie samemu kościołowi i paulinom groziło; składka niebawem pokryła wszelkie straty, i nową dzwonnice z wieżą wystawił przeor Tomasz Królikowski na dawnych murach od ognia ocalonych (1747—1753). Wszyscy tutaj wymienieni przeorowie byli doktorami, wszyscy byli synami tutejszego klasztoru.

Za czasów króla Poniatowskiego lubo klasztor coraz nowych a nawet potężnych znajdował dobroczyńców, chwilowo groziło dominikanom wielkie niebezpieczeństwo, i chociaż księża uniknęli całkowitej zagłady, jednak okropnie za to odpokutowali. Wtedy Tadeusz Ogiński kasztelan trocki (1764 r.) i Dominik Sobolewski podkomorzy warszawski (1764 r.), wtedy ksiądz Stanisław Potkański opat sulejowski, którego ciało tutaj spoczywa i ks. Młodziejowski biskup poznański, dobrodziejami byli zakonu. Wtedy liczba zakonników urosła do 69 osób (1769 r.). Przeor mógł się podjąć wtedy wszelkiej posługi duchownej u Sakramentek, której dominikanie jako procent od pożyczonéj summy bezpłatnie przez lat kilkanaście dopełniali (1741—1764 r.), aż póki przeor Marcin Runiński także doktor (1763—1766 r.) człowiek wielkiej roztropności, łagodny jak ojciec, a gorliwy o dobro ogólne, długu nie spłacił i nie porozumiał się z sakramentkami raz na zawsze



co do téj rzeczy, to do dziś dnia posługi duchowne w kościele panien spełniają dominikanie. W tém nagle niebezpieczeństwo zagroziło klasztorowi z następującego powodu: zdarzyło się to za przeorstwa księdza Dominika Borkowskiego (1766—1773). Raz w dżdżystą noc listopadową stało kilka wozów z sianem na rynku nowomiejskim; nie mogły już wracać do domu dla zbyt spóźnionej pory, biedny jakiś chłopiek przyszedł tedy do ks. syndyka klasztornego z prośbą, żeby w stajniach na podwórzu pozwolił mu i sąsiadowi jego zanocować. Ksiądz Stefan Dowgiałło nie spodziewając się zdrady, bo ktoby się jój w chłopku domyślał? pozwolił im noclegu, który tak się przeciągnął, że dzień cały następny na podwórzu klasztorném włościanie nasi gościli. A jednak byli to przebrani konfederaci Strawińskiego, którzy na króla czatowali. W istocie, gdy się zmierzchno następnej nocy, okulbaczwszy konie i w broń się opatrzywszy, wyjechali na niebezpieczną wyprawę. Szło tutaj więc o zbrodnią obrażonego majestatu, i na nieszczęście klasztor w tę sprawę wnięszano. Na opowiedzenie Kuźmy, że konfederaci u dominikanów nocleg mieli, rano jeszcze przed dzwonieniem na różaniec, wojsko otoczyło klasztor i kilka dni żywój duszy ani wewnątrz, ani zewnątrz niko go do księży ani wpuszczało ani wypuszczało od księży. Sądzone najprzód, że klasztor a przynajmniej że niektórzy zakonnicy byli w zмовie z Puławskim i pozory były, bo konfederacyje wiązały się wtedy wszędzie przeciw dyssydentom. Skoro się dobrze rozwidniło, przeora pod strażą zaprowadzono do księcia kanclerza, który ciągnął z niego śledztwo; następnie po dwóch zakonników brano z klasztoru i spisywano ich zeznania. Ojciec syndyk musiał się aż w sądach marszałkowskich świecić a tymczasem, że nie doniósł o tych ludziach policyi, do nuncyatury po karę odesłany. Toż był główny zarzut w ogóle całemu klasztorowi, że ludzie tych u władzy nie meldował i że miasto wiedziało już o schronieniu się konfederatów u dominikanów, a dominikanie milczeli.

Byli panowie, którzy gwałtem księżom narzucali winę i spisek z Puławskim, głównym zaś był ich nieprzyjacielem Poniński, który już dawno ostrzył zęby na wioski zakonne, ciesząc się że po zniesieniu klasztoru dostanie je kadukiem. Gdyby nie Młodziejowski, któremu prowincyał z kapitułą losy swoje poruczał, byłoby źle z dominikanami, stąd klasztor kanclerza do najcelniejszych swoich liczy dobrodziejów. W istocie, on tylko jeden mógł przeciwważyć wpływy Ponińskiego. Filozofia podniosła ogromne wrzaski na zakon, że rozwolnienie w nim wielkie, że kaznodziejów jako powinien z prawa swego, wcale nie ma, że wielu gości obcych do siebie przyjmuje, zwłaszcza podczas sejmów, kiedy to zakonników, jak śledzi do beczki po kilku do jednej celi pakują, żeby więcej miejsca było. Głosy wrogów odzywały się jawnie za kassatą. Ocalił zgromadzenie Młodziejowski i wpływy jakie u panów miał przeor, tylko syndyk skazany i ksiądz kaznodzieja Eugeni Syrkowski, który z jednym konfederatem w późną noc rozmawiał przez okno z głównego kurytarza, ale o czém? nie wiadomo. Za nieostrożność obadwaj dwutygodniowe odsiedzieli rekolekcye.

Mimo to szarpano nielitościwie klasztor za wiedzą i upoważnieniem nawet Ponińskiego. Wzruszono dawne zapisy Kotowskich, był to wyraźny dowód złej wiary. Józef Oborski podkomorzyc liwski albowiem wyrobił sobie kaduk na cały majątek nieruchomy, bezdzietnie zmarłego stolnika, zajął więc dobra Górcze, Jurki i Borowe z przyległościami (1773 r.). Byłby został przy nieznanym nabytku, gdyby nie zbyteczna chciwość. Chciało mu się posiadać ten kaduk bez żadnych obowiązków, czysty jak srebro; że zaś w zapisach Kotowskiego były pobożne legaty, zgłosił się do stanów rzeczypospolitej o wyznaczenie kommissyi, któraby rozpoznała czy fundacyje spadkodawcy były zgodne z prawami koronnemi? Oborski myślał że pójdzie górą, bo konstytucya z r. 1635 zakazywała zapisywać dobra ziemskie na takie legaty,

a więc Kotowski dobrze później nie miał prawa ich robić; wreszcie dowodził, że donacją dóbr swoich na dominikanów, stolnik zeznał tylko w metryce, a nie przed grodem, nareszcie że klasztor nie miał intromisseyi do Górców. Na czele kommisseyi z dwunastu członków złożonej, zasiadał Młodziejowski: przegrali dominikanie na zasadzie konstytucyi z roku 1635. Ale za to kommiszja włożyła na Oborskiego obowiązek, żeby księżom wypłacił 5,000 dukatów, od których procent miał iść na mszę i nabożeństwa, których Kotowski domagał się; Oborski uważał to za krzywdę swoją, i wymógł na kommissarzach, że mu jeszcze 500 dukatów darowali (1 września 1774 r.). Wypłaciwszy dług klasztorowi i otrzymawszy kwit w grodzie warszawskim (20 lutego 1775 r.), zajął dobra. Dominikanie podali wtedy do sejmu prośbę, żeby pozwolił im nabyć w zamianę nowych dóbr i zatwierdził prawo do nieruchomości, jakie posiadali pod władzą miejską w Warszawie. Za wsparciem Młodziejowskiego w istocie otrzymali taką jaką chcieli konstytucyją; pozwolono im kupić dobra za 400,000, a grunta miejskie zatwierdzono (oblata w grodzie warszawskim 13 kwietnia 1775). Mimo to jednak, ojcowie dóbr żadnych nie kupili, tylko za pieniądze Oborskiego (80,990 złp.) wystawili kamienicę na ulicy Mostowej, a co zostało oddali pożyczką Młodziejowskiemu na dobra jego Czerniakowo. W tém drugi cios: generał-adjutant Wodzicki wyrobił sobie kaduk na Lipniak i Jamielnik z przyległościami (31 paździer. 1778) i zapozwał dominikanów do ziemstwa łukowskiego o ustąpienie z dóbr. Zgodzono się na kompromis, na którym superarbitrem był Makary Kurdwanowski podkomorzy bełski członek rady nieustającej. Napróżno silił się generał na dowody, przepadł z kretesem, bo tytuł do własności tych dóbr sięgał jeszcze czasów z przed r. 1635, więc kaduk uznano za nieprawny (1784).

Już odtąd nie powracał nigdy klasztor do dawniej swojej świetności. Na własne potrzeby kościelne srebro topić



musiał po kilka razy (1777, 1778, 1783, 1786 r.). Stracił duże summy na bankach, a mianowicie u Prota Potockiego (1793 r.), co się stąd uratowało, to kommissyja trzech dworów później przekazała do Łysobyk w kordonie austryjackim, więc za granicę. Na wojnę 1794 r. klasztor musiał oddać zbywające srebro swoje i złoto. Nareszcie w roku 1797 klasztor utracił wszystkie swoje dobra, rząd pruski za Seroki i Granicę dał kompetencyi złp. 2,854 gr. 4. Dobra zaś w Galicyi i summy na nich, nawet owa łysobycka przepadły. Ojcowie widząc tak wielką swoją stratę, postanowili (1797 roku) wysłać którego z zakonników do Krakowa z prośbą do gubernatora przynajmniej o wyjednanie jakiej kompetencyi z dóbr. Ale wysłany ksiądz Dominik Przewłocki nic nie wskórał. Wszystko to było powodem redukcji nabożeństw, do których obowiązani byli dominikanie; pierwszą taką redukcją zarządził sam generał przed kilkudziesięcią jeszcze laty w Rzymie (20 marca 1728 roku), druga odbyła się teraz na prośbę całej prowincyi polskiej w 1797 r., do czego dominikanie słuszny powód mieli, bo tu summy poprzepadały; tam procent upadł zmniejszony przez sejm do połowy, nowe wreszcie podatki potrzeba było płacić. Przeorem był wtenczas w klasztorze tutejszym ksiądz Urban Kunkiewicz z Gdańska, od wszystkich kochany, dobry, łagodny, poczciwy, ale w smutnych rządził czasach (1792 — 1798 r.). Za przeorstwa księdza Dominika Przewłockiego, tego co do Krakowa jeździł, Francuzi wkroczyli do Warszawy. Były to jeszcze smutniejsze czasy; wojsko zalało wszystkie domy. Klasztor nasz, oprócz kilkunastu oficerów, do stu na kwaterę dostał żołnierzy, którym przez dwa miesiące musiał dawać pościel, żywność i opał; potem uwolniono mieszkańców od dawania żywności, ale ciężar kwaterunkowy pozostał. Od 26 grudnia 1806 r. założono jeszcze u dominikanów lazaret francuzki, na który zajęto główne cele dolne i górne, refektarz, kuchnie, śpiżarnie i śpichrz, tak, że zakonnikom zostały ledwo

cele nad kapitularem i nowicyjat, na obiad zaś chodzili do dworku swego na ulicy starój. Jenerał Bertrand nadesłał te rozkazy w sam dzień Bożego Narodz. o jedenastój w nocy: gdy biblijotekę w ciągu dwunastu godzin uprzątnąć rozkazano, na znaczne stąd księża narazili się straty; szafy popsuto, dzieła porozrywanono, a resztę w stercie przy nowicyjacie złożono na kurz, słotę, myszy i mole. Kiedy wreszcie 1 maja 1807 r. wywieziono lazaret z klasztoru, salę biblijoteczną zatrzymano na szwalnię, potem na skład sprzętów wojskowych. Drugi raz przeorem był już Przewłocki, kiedy za radą starszych w 1818 r. ratując szczątki biblijoteki, z której wiele pożywił się i Linde, aby książki na gromadach leżące większej szkodzie nie uległy, inne sale kazał poprzerabiać na pomieszczenie nowój biblijoteki, dawna zaś przemieniona potem na szkoły wydziałowe (1824). Czasy księstwa warszawskiego kosztowały ubogi klasztor przeszło 30,000 złp. gotowizny, prócz strat niepowetowanych, np. w biblijotece.

Czasy księstwa pamiętne tém są jeszcze dla klasztoru, że w roku 1808 po kassacie Benonów przeniosło się tutaj bractwo Skonania Pana Jezusa, i kaplicę ciemną przez czeladź szewcką opuszczoną, wzięło pod swój dozór, czém ujęci szewczykwie, obrali sobie oltarz ś-go Jacka, jako z ich kwesty w roku 1764 postawiony, i że odbyło się do kościoła dominikanów uroczyste wprowadzenie obrazu błogosławionych męczenników sandomierskich Sadoka i towarzyszków jego, z kościoła księży pijarów (24 czerwca 1809): uroczystość to była bardzo rzadka i nowa dla Warszawy w tych czasach filozofii, bo Augustowie sascy, za których takie obrzędy odbywały się prawie codziennie w Warszawie, już dawno zstąpili do grobu i pokolenie żyjące za księstwa zapomniało o dawnój przodków pobożności. Celebrował ks. Antoni Malinowski biskup cynneński ex-dominikanin, dawniej sufragan żmudzki poświęcony w kościele tutejszym na biskupa (d. 22 grudnia 1782 roku) przez Giedrojcia, Cieciszowskiego i Na-

ruszewicza. Towarzyszyło uroczystości bractwo różańcowe, cechy z chorągwiami, zakony, gwardyja narodowa, była i muzyka wyborna z dętych instrumentów złożona. Z ogromną wystawą trwało przez kilka dni nabożeństwo. Lud się tłumił. Nakład główniełożył zakonny brat Pius Szczerbiński, który przez lat kilkanaście utrzymując w klasztorze sławny handel w stolicy wina i miodu, zebrał kapitałik, i z niego 200 dukatów poświęcił w taki sposób na chwałę Bożą.

Wprowadzenie święta męczenników sandomierskich odbyło się za przeorstwa księdza Damijana Dzieszkowskiego, którego nazwiskiem najstósowniej będzie zamknąć kronikę dominikanów w Warszawie. Prezentat teologii, potem doktor, rzeczywisty rezens studyi, syn tutejszego klasztoru, objął w nim rządy po raz pierwszy 24 listopada 1807 r., i piastował je do 1815 r., w którym jednomyślnie obrany prowincyjałem; po czém drugi raz d. 8 grudnia 1821 r. Gdy przy końcu roku trzeciego, został znowu prowincyjałem, generał pozwolił mu zatrzymać przeorstwo które tą razą piastował do r. 1830. Tak więc przez lat siedmnaście rządził klasztorem warszawskim. Kawał to wielki czasu, ale ks. Dzieszkowski więcej zrobił jak mógł, bo lata mnożył. Apostolskiej gorliwości zakonnik żył dla modlitwy, pracy i dla swojego kościoła. Jego tu znać na każdym kroku. Odpust wieczysty dla całej prowincyi wyrobił w Rzymie na dzień błogosł. Sadoka i jego współmęczenników (1817 r.). Klasztor powoli wszędzie przebudowywał, dachy wszędzie dał nowe, kapitułarz Grabieckiego z portretami biskupów zakonu razem z ołtarzem kazał odnowić i wymalować (1829 r.). Gdy dla upiększenia miasta nakazał urząd municypalny, żeby księży mur cmentarzowy od dzwonnicy, aż do obcej posiadłości dotykający rozebrali i kratę żelazną w tém miejscu postawili, przeor Damijan zamiast kraty, postawił dom zwany gotyką podług planu Hilarego Szpilowskiego, który miastu był ozdobą, a zgromadzeniu stanowi dochód



(1823 r.). Gdy dzwon największy pękł przy dzwonieniu za duszę prymasa Malczewskiego, ksiądz Damijan, ogromny 4,800 funt. wążący kazał ułać (1827). Wybudował pokoje biskupie. W kościele podobnież zmiany na lepsze: zbudował skarbiec, całe ściany na nowo murował. Gdy wichry cały prawie gzyms obdarły, pokrył go blachą (1813 r.), organy odnowił (1810 r.). Zakrystyją uposażył w piękne rozmaite aparaty, do ołtarzów sprawiał sukienki z miedzi posrebrzanéj (ś-go Jakóba), inne odnawiał i pozłacał, jako to w r. 1844 ołtarz Pana Jezusa i ś-go Wincentego. Kościół raz wraz stroił i bielił. Gdy ołtarz wielki spróchniały musiał być rozebrany, kupił prawie nowy od bernardynów pragskich za 2,000 zlp., a że chór zakonny przed ołtarzem dawniej dany wielką był przeszkodą zakonnikom do nabożeństwa, z powodu że ludzie świeccy, a szczególnież kobiety cisnęły się do stallów, więc i stalle, jako także spróchniałe kazał rozebrać i menzę od wielkiego ołtarza w presbiteryjum odsunąć o tyle, o ile potrzeba było miejsca na pomieszczenie stallów pomiędzy menzą a ołtarzem; cymboryjum nowe podług rysunku Szpilowskiego zrobił, tablatury przed wielkim ołtarzem, ławki i dwa konfesyjonały przy końcu ławek postawił, kazał je pozłocić i odmalować. Robota ta w r. 1815 skończona, kosztowała przeszło 23,000 zlp. Ksiądz Dzieszkowski więc stworzył to wnętrze kościoła, jakie dzisiaj oglądamy. W ogóle zważywszy te wszystkie prace, jakie podejmował w czasach najkrytyczniejszych, zważywszy że nakładom publicznym wystarczą, a długu nie zaciągał żadnego i że ze swojej własnej oszczędności przeszło 12,000 wydatkował, przyznać musim, że ksiądz Dzieszkowski mógł z chlubą o sobie przed śmiercią powiedzieć, że Bóg mu oczywiście w tém wszystkiém pomagał.

Nikt tak gorliwie, jak ksiądz Damijan nie walczył o fundusze swojego kościoła. Nie tylko że różne summy wynajdywał, że długi spłacał, że bogactwa klasztoru mnożył, a nie uszczuplał

ich, jeszcze stare od wieków wznawiał pretensyje i wygrywa sprawę. Gdy skasowano dominikanów obserwantów, ksiądz Damijan z rewersami w ręku jeszcze z czasów Michała Korybuta upominał się o zwrot pożyczonych im z tutejszego klasztoru monstrancyi i kapy, które mu prymas ksiądz Hołowczyce wydać rozkazał. Za jego téż czasów fundusze skassowanego świeżo klasztoru w Warce, przeszły na własność tutejszych dominikanów (1818), a nadto w lat kilka później z kapitałów po drugim klasztorze w Górze Kalwaryi Rada Administracyjna przeznaczyła dla tutejszego 24,000 złp. (9 października 1827 r.). Szacunku takiego ksiądz Dzieszkowski używał, że Kommissyja Rządowa Wyznań Religijnych i Oświecenia wezwiała go 17 kwietnia 1823 roku, żeby się podjął utrzymywać wraz ze zgromadzeniem szkołę wydziałową; gdy dominikanie na to przystali, rząd przeznaczył zgromadzeniu 7,000 złp. wynagrodzenia, a szkoła otwartą została na rok szkolny 1823 $\frac{3}{4}$  i trwała do r. 1830. Rektorem jój był ciągle ksiądz Dzieszkowski, prefektem niedawno zmarły ks. ex-prowincyjał zakonu, mąż apostolski ksiądz Wszelaki, między zaś nauczycielami świeckimi byli znakomity filolog Aleksy Nędzyński i Ignacy Lojola Rychter.

Ostatnie wypadki odnoszące się do kościoła i klasztoru, są następujące: grunt Belcząca wzięty został pod cytadellę w r. 1832, i za to klasztor dostał złp. 34,718 gr. 25. W roku 1839 kościół i klasztor wybielono cały. W roku 1843 obadwa ołtarze różańcowe całkowicie odnowił i ozłocił Feliks Bobrowski malarz z funduszu, który zostawił testamentem Edward Rakiety sekretarz jeneralny Kommissyi Rządowej Wyznań i Oświecenia Publicznego, wielki dobrodziej dominikanów. Dwa drugie, o czém już mówiliśmy, odnowił ksiądz Dzieszkowski (1844 r.).

Niezbyczną będzie więc rzeczą na zakończenie naszój kroniki, powiedzieć słów kilka o samym księdzu Damijanie. Urodził się w biskupstwie wileńskim 17 lipca 1770 roku. Skoń-

czył szkoły po-jezuickie w Warszawie. Wstąpił do zakonu w tu-  
tejszym klasztorze 15 listopada 1787 roku. Odbывwszy studia,  
sam uczył tutaj filozofii i był kaznodzieją, poczem przeniesiony  
do Gdańska, wrócił znowu do Warszawy i już krokiem z niej  
nie wyjeżdżał. Obrany był trzy razy prowincyjałem. Umarł  
w późnej starości 1846 roku.

---